

## ROZDZIAŁ 2

*Niedziela, 11 sierpnia 2019.*

Byli w parku sami. Wokół panowała zupełna cisza. Wszystkie liście opadły już z drzew i pokrywały ziemię grubą rdzawą pierzyną. Ojciec postawił znicz na wielkim kamieniu pod drzewem. Mówił, że być może dusza mamy jeszcze nie odnalazła drogi do nieba i ten ogień będzie ją prowadził. Natalia wcale nie chciała, aby mama odnalazła drogę do nieba. Chciała żeby wróciła do nich. Nie mówiła o tym jednak ojcu. Wiedziała jak bardzo to przeżywa. Mgła wokół była tak gęsta, że światło znicza było ledwie widoczne. Spojrzała na gałąź nad nimi. Widziała zwisający sznur zawiązany w pętlę. Drzewo wyglądało jak szubienica. Mgła gęstniała przy ziemi, całkowicie zasłaniając głaz, na którym stał znicz. Świecek zdawała się być zawieszona w powietrzu. Natalia przymrużyła oczy i wpatrywała się w miejsce, gdzie stał kamień, starając się dostrzec jego kształt pośród mlecznej toni. Nie widziała jednak nic poza mgłą. Nagle poczuła szturchanie.

– Obudź się! Halo! – mówił do niej ojciec, szarpiąc ją za ramię. – Halo! Czy mnie pani słyszy? – jego głos zmienił barwę na kobiecą.

Oślepiło ją białe mocne światło.

Ocknęła się. Zasłoniła dłonią twarz, chroniąc oczy przed rażącym blaskiem. Światło przesunęło się w bok. Odsłoniła oczy i zobaczyła nad sobą kobietę w policyjnym mundurze.

– Jest przytomna! – powiedziała kobieta do kogoś stojącego za nią.

Natalia przechyliła głowę i zauważyła stojących za funkcjonariuszką dziewczynę i chłopaka, którzy nerwowo tłumaczyli coś policjantowi. Nagle świadomość rzeczywistości spadła na nią jak czarna lawina, razem z bólem rozciętych warg i smakiem krwi w ustach.

– Dajcie karetkę! – powiedziała kobieta do radia przymocowanego do jej kamizelki. – Spokojnie, zaraz przyjedzie pogotowie. Jak się pani czuje? – zwróciła się do Natalii.

Jak się czuje? Jak mogła się czuć? Patrzyła się na policjantkę szeroko otwartymi oczami, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Cała dygotała. Czy od leżenia na ziemi zrobiło jej się zimno? A może był to efekt stresu? Cokolwiek to było, zupełnie nie potrafiła opanować drżenia całego ciała.

– Przyniosę pani koc termiczny. Proszę jeszcze nie wstawać – rzuciła pośpiesznie policjantka i oddaliła się w kierunku stojącego na chodniku radiowozu.

Natalia podniosła lekko głowę i zauważyła ciało mężczyzny leżące u jej stóp. Świat znowu zawirował jej przed oczami.

Kwadrans później siedziała w karetce. Ratownik medyczny, dłonią odzianą w niebieską, lateksową rękawiczkę, podniósł jej górną wargę. Przez chwilę studiował jej dziąsła i zęby.

Przez otwarte drzwi ambulansu widziała radiowóz, za którym pojawił się drugi, czarny, nieoznakowany samochód. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna w jeansach i czarnym T–shircie oraz dwóch mężczyzn ubranych od stóp do głów w białe skafandry. Mężczyźni w kombinezonach, niosąc czarne walizki, przeszli pod taśmą, którą chwilę wcześniej rozciągnął policjant. Mężczyzna w T–shircie rozmawiał kilka minut z policjantką, co chwilę zerkając w stronę Natalii, po czym skierował się ku karetce.

– Dobry wieczór! Komisarz Marek Szulc – powiedział mężczyzna, okazując Natalii oraz ratownikowi medycznemu legitymację.

Pozbawiona wyrazu twarzy na fotografii w dokumencie bardziej przypominała twarz przestępcy, niż policjanta. Zdjęcie było zdecydowanie niekorzystne.

– Jest pani w stanie odpowiedzieć mi na kilka pytań? – zapytał, patrząc najpierw na Natalię, a potem na medyka. Ten kiwnął głową i wyszedł z karetki.

– Czy posiada pani jakiś dowód tożsamości? – zapytał detektyw.

– W torbie – wymamrotała Natalia.

– Ma ją pani przy sobie?

– Tak. To znaczy, miałam. Miałam dużą czarną torbę podróżną, a w niej małą torebkę. Tam jest dowód osobisty – odpowiedziała Natalia, dopiero teraz przypominając sobie o własnych rzeczach, które zostały pewnie w krzakach.

– Zaraz to sprawdzimy. – Mężczyzna odwrócił się i podszedł do policjantki stojącej przy niebiesko-białej taśmie. Po chwili rozmowy, wrócił do otwartych drzwi karetki.

– Niestety, nie znaleziono pani torby. Być może ktoś ją zabrał. Domyśla się pani kto?

– Nie, nie wiem.

– Dobrze, zacznijmy więc od początku. – Detektyw wyjął z tylnej kieszeni spodni mały notatnik i długopis. – Pani imię i nazwisko, pesel, jeśli pani pamięta, oraz adres zamieszkania.

Kończył jeszcze wpisywać do notatnika adres, kiedy zadał kolejne pytanie.

– Czy może mi pani opowiedzieć po kolei co się wydarzyło?

– Szłam na tramwaj, kiedy...

– O której godzinie miała pani tramwaj? – przerwał jej detektyw.

– O 23:05.

– Jakiej linii?

– Dziewiątka.

– Dokąd pani jechała?

– Do domu. To znaczy, wynajmuję pokój w domu na Pogodnie.

– Skąd pani wracała?

– Od ojca. Mieszka w Łobzie.

– Tak? – zachęcił ją do kontynuowania zapisując coś w swoim notatniku.

– Ten mężczyzna zaczął mnie gonić. Uciekałam, ale potknęłam się i wtedy on mnie uderzył. Musiałam stracić przytomność. Obudziłam się w tych krzakach za przystankiem – wskazała palcem miejsce za taśmą. – On chciał... – Nie mogła wydusić z siebie tych słów. Nie dość, że ta myśl sama w sobie była dla niej niewyobrażalnie obrzydliwa, to dodatkowo czuła się dziwnie zawstydzona mówiąc to temu facetowi. – On chciał mnie zgwałcić – wyrzuciła wreszcie.

– Rozumiem – powiedział nie zdradzając żadnych emocji policjant. – Zrobił to?

– Nie, nie zdążył.

– Bo? Co się wydarzyło?

– Nie wiem. Musiałam znowu chyba stracić przytomność – skłamała nie wiedząc nawet czemu.

– Nie wie pani, co się potem działo? Nikogo więcej pani nie widziała?

– Nie wiem... być może... trudno powiedzieć – mieszała się w zeznaniach. – Tak, był chyba ktoś jeszcze. Kobieta.

– Jak wyglądała ta kobieta?

– Nie wiem, było bardzo ciemno. Chyba miała długie włosy.

– Co robiła? – dopytywał detektyw.

– Stała za nim... Potem nie wiem co się działo. – Nie miała pojęcia jak opowiedzieć policjantowi o tym, co widziała. Że tamta chyba piła krew niedoszłego gwałciela? Że była wampirem? Po takich opowieściach najpewniej zamkną ją w jakimś pokoju bez klamek.

– To wszystko, co pani pamięta?

– Tak. Jak się ocknęłam, zobaczyłam policję oraz dziewczynę i chłopaka.

– To oni panią znaleźli i zgłosili zajście – odparł Szulc, po czym stał przez chwilę milcząc i wpatrując się nieobecny wzrokiem w podłogę ambulansu. – Dobrze więc, zawołam ratownika. – Kiwnął ręką na stojącego w pobliżu medyka.

– Zabieracie panią do szpitala? – spytał detektyw.

– Myślę, że tak. Uderzyła się pani w głowę i straciła przytomność. Trzeba zrobić prześwietlenie – odpowiedział ratownik medyczny patrząc na Natalię.

– Nie! – zaprotestowała, nagle się ożywiając. – Chciałabym jechać już do domu. Nic mi nie jest. Nie uderzyłam się w głowę. Chyba zemdlałam z wrażenia – tłumaczyła już spokojniej wręcz błagalnym tonem. Nienawidziła szpitali. Większość ludzi nie lubi szpitali, ale ona bała się ich niemal panicznie. Nie potrafiła tego w żaden logiczny sposób wytłumaczyć, ani uzasadnić. Poza tym, w tym momencie nie marzyła o niczym tak bardzo, jak o tym, aby wziąć prysznic i schować się przed całym światem pod kołdrą.

Ratownik medyczny patrzył na Natalię, najwyraźniej zaskoczony jej kategorycznym sprzeciwem.

– Obrażenia wyglądają wprawdzie na powierzchowne i ogólny pani stan wydaje się dobry. Wolałbym jednak zabrać panią do szpitala. Jeśli koniecznie chce pani wracać do domu, to musi mi pani podpisać oświadczenie, że odmawia pani badania w szpitalu – powiedział ratownik, patrząc na detektywa.

– Jest pani pewna, że nie chce pani, aby dokładnie zbadał panią lekarz? – zapytał detektyw.

– Nie, dziękuję. Na pewno – odpowiedziała Natalia, domyślając się, że chodzi mu pewnie o badanie ginekologiczne.

Szulc wzruszył ramionami i kiwnął głową. – W takim razie za chwilę odwiezie panią funkcjonariusz. Mam tylko prośbę, aby nie wyjeżdżała pani z miasta w ciągu najbliższego tygodnia. Na pewno się z panią wkrótce skontaktujemy.

\*

Szła oświetlonymi, wybrukowanymi ulicami zupełnie nie potrafiąc zidentyfikować miejsc, którymi kiedyś wielokrotnie się poruszała. W pewnym momencie, trąbiąc, przejechał tuż przed nią samochód. W ostatniej chwili zauważyła tylko nerwowo gestykulującego kierowcę wykrzykującego coś w jej kierunku. Chaos kolorowych świateł, neonów i reklam był dla niej przytłaczający. Wiedziała, że zmierza w kierunku Bramy Passawskiej<sup>1</sup>, jednak nigdzie nie mogła dostrzec murów miejskich. Jedyne gwiazdy, które ledwie widziała zza świateł miasta, wskazywały jej drogę.

Jako ktoś, kto całe życie czytał znaki z nieba i obserwował gwiazdy i księżyc, doskonale znała jego fazy w poszczególnych porach roku i potrafiła powiedzieć, że pełnia miała być za pięć dni. Wtedy też uda się na Czarcią Górę i dowie się wszystkiego. O ile ktoś zjawi się na sabacie.

Przed sobą zauważyła grupę ludzi stojących przy krawędzi drogi. Domyśliła się, że chcą przejść na drugą stronę, lecz czekają na dogodny moment, w którym nie wpadną pod nadjeżdżający pojazd. Przystanęła obok i zaczęła dokładniej przyglądać się otoczeniu. W oddali, po prawej stronie, spośród budynków wyłaniała się monumentalna sylwetka Kościoła św. Jakuba. Jedynej budowli, którą potrafiła rozpoznać. Niby bardzo znajomy, a jednak bardzo inny. Strzelista iglica zdawała się być wyższa od tej którą pamiętała. Czerwone cegły oświetlone ciepłym światłem mieniły się bursztynowym kolorem. Cały kościół lśnił na tle ciemnego nieba. Lecz najbardziej zadziwiła ją iglica na wysokiej wieży, której oświetlone wewnątrz widać było przez ogromne przezroczyste szyby.

Jeszcze raz rozejrzała się wokół i zorientowała się, że cały czas musiała iść wzdłuż miejsca, gdzie w jej czasach znajdowały się mury miasta. Nie zgubiła się więc i cały czas zmierzała w kierunku Bramy Młyńskiej<sup>2</sup>. Przeszła przez jezdnię wraz z grupką ludzi.

---

<sup>1</sup> *Passauertor* – jedna z czterech głównych bram miejskich usytuowana w narożniku murów obronnych w południowo-zachodniej części Szczecina. Obecnie skrzyżowanie ulic 3 Maja i Dworcowej,

<sup>2</sup> *Mühlentor* – nieistniejąca brama miejska usytuowana u wylotu obecnej ulicy Staromłyńskiej.

Miasto było zatłoczone, jak na nocną porę. Zewsząd dochodził ją śmiech mijających ją ludzi. Kobiety w większości ubrane były jak nierządnicę. Zaglądała w okna oświetlonych wnętrz. Dawne karczmy i szynki ustąpiły miejsca ogromnym przybytkom wypełnionym po brzegi ludźmi. Połyskujące tysiącami świateł, wysokie jak zamki budowle przytłaczały ją swoim ogromem. Zdała sobie sprawę, że wiele będzie musiała nadrobić, chcąc odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Przede wszystkim będzie musiała uporządkować nabyte przed dopiero co wspomnienia, które uderzały ją co chwilę w całkowicie przypadkowej kolejności, stawiając jej przed oczami obrazy, których nie rozumiała.

Zaczynała pojmować, że w mieście jednak nie znajdzie odpowiedzi na żadne z pytań, które teraz ją nurtowały. W chaosie myśli i wrażeń starała skupić się na celu, na prawdopodobnie jedynym bezpiecznym dla niej miejscu – Czarciej Górze. Doszła do kolejnej drogi i ponownie stanęła w grupie przechodniów czekających na bezpieczne przejście przez jezdnię. Przyglądała się otaczającym ją wysokim budynkom. Ich gęsto umieszczone okna przypominały jej komory misternie budowane przez osy w swoich gniazdach. Spojrzała w kierunku rzeki skąd wciąż dochodziły dudniące dźwięki muzyki. Była ciekawa, czy dostrzeże jakieś znajome zabudowania. Zapaliło się zielone światło i grupka ludzi ruszyła przez jezdnię. Podążyła za nimi. Zza drzew dojrzała znany kształt kościoła św. Piotra i Pawła. Oznaczało to, że właśnie przekroczyła mury miasta oraz fosę i znajdowała się w okolicy Bramy Młyńskiej oraz miejsca kaźni, gdzie 400 lat temu miała zakończyć swoje życie. Miała nadzieję, że skoro wyszła z miasta, to wkrótce trafi na odludny trakt wiodący na północ, gdzie tylko księżyc i gwiazdy będą oświetlać jej drogę. Zatrzymała się jednak i przez chwilę walczyła z własną ciekawością. Tłum ludzi podążał od strony rzeki tworząc niemal monolit, przez który ciężko było jej się przebić. Ostrożnym krokiem zmierzała w kierunku kościoła. Nie chciała zbliżyć się za bardzo. Nie wiedziała, kogo może spotkać w tej okolicy, lecz nie mogła iść dalej bez zaspokojenia swojej ciekawości i sprawdzenia czy zamek nadal stoi w swoim miejscu.

Jego jasno oświetlona sylwetka wyrastała ponad drzewami równie dumnie, jak niegdyś. W pamięci miała zamek otoczony murami miejskimi.

Teraz stał pośród zieleni, a jego fasada wyglądała tak samo dostojnie jak po renowacji, którą przeprowadził Książę Franciszek. Zastanawiała się przez chwilę, czy ciągle w nim rezyduje on, lub inny z Gryfitów. Co dziwne, nigdzie nie mogła dostrzec wysokiej wieży Kościoła Mariackiego. Może kolejne uderzenie pioruna zniszczyło ją doszczętnie? Pośpiesznie wróciła na drogę, którą miała nadzieję wyjść na trakt w kierunku Czarnej Góry.

Zabudowania miejskie zdawały się ciągnąć bez końca. Po kolejnych dwóch kwadransach nadal szła jasno oświetloną i gęsto zabudowaną drogą, na której co chwilę spotykała ludzi. Wspomnienia jej ofiar coraz intensywniej atakowały jej świadomość. Niezrozumiałe obrazy pojawiały się przed jej oczami coraz częściej. Sceny przerażające, okrutne oraz te piękne i wzruszające. Sceny wojen, skrajnej nędzy jak i niezmiernego bogactwa oraz nieznanymi wynalazków. A więc taki był obecny świat? Szybki, pełen wydarzeń, mnóstwa informacji i skrajności. Natłok wrażeń dał jej się we znaki i poczuła jak kręci jej się w głowie. Miała ochotę zaszyć się gdzieś i wszystko przemyśleć, wchłonąć. Cały czas kierowała się gwiazdami na północ, lecz kręte uliczki zwoziły ją często w innym kierunku i miała wrażenie, że oddala się od celu.

Zabudowania wokół były wciąż gęste, jednak coraz rzadziej spotykała ludzi. Nagle z oddali poczuła silną woń śmierci. Cmentarz. Idealne miejsce na to, aby się zaszyć gdzieś gdzie żywi niechętnie się zapuszczają, szczególnie nocą. Zboczyła z drogi na północ i skierowała się lekko na zachód. Miała nadzieję, że znajdzie jakąś starą kryptę gdzie będzie mogła się ukryć i przeczekać do pełni, aż nabierze sił i poukłada wspomnienia, tak aby stanowiły dla niej jak najwięcej pożytku. Droga była całkowicie odludna i dość ciemna. Szła wzdłuż wysokiego muru z cegieł, po czym skręciła w lewo i weszła do parku. Czuła obecność wielu zagubionych i umęczonych dusz, także dziecięcych. „A więc cmentarz dla obłąkanych” – pomyślała. Ku swojemu rozczarowaniu nie dostrzegła żadnych nagrobków ani krypt. Cmentarz najwidoczniej został zlikwidowany jednak pod warstwami liści i mchu nadal znajdowały się groby. Obejrzała się za siebie i ujrzała nakryty kopułą budynek z cegły. Wyglądał na opuszczoną kaplicę. Postanowiła schronić się wewnątrz budynku, jednak drzwi wejściowe były zamurowane. Obeszła kaplicę dookoła szukając jakiegoś



wejścia. Budynek posiadał kilkoro drzwi wejściowych oraz okien. Wszystkie były zamurowane lub zabezpieczone grubą blachą. Jedynie okrągłe okienka na piętrze nie zostały zaślepione, lecz zamknięte kratą. Gdyby znalazła choć jedno, w którym krata była uszkodzona. Obeszła kaplicę jeszcze raz i dostrzegła, że na gęsto zarośniętej bluszczem ścianie okrągłe okienko jest otwarte. Wzbiła się w powietrze lewitując przez chwilę na wysokości jakichś 3 metrów, po czym dostała się do środka.

Znalazła się w okrągłym pomieszczeniu pod kopułą. Oprócz żółtego światła latarni, ledwie wpadającego do środka przez okrągłe okna, było tam zupełnie ciemno. Nie przeszkadzało jej to. Znakomicie widziała w ciemności. Jej źrenice rozszerzały się wtedy tak bardzo, że zasłaniały całą tęczówkę, sprawiając, że jej zielone oczy stawały się zupełnie czarne. Odnalazła schody prowadzące na dół i zeszła po nich. Na niższym poziomie znajdowało się kilka małych pomieszczeń. Wyglądały na opuszczone wiele lat temu. Oprócz metalowych stołów z otworami, nie zachowało się nic z wyposażenia. Z sufitu łuszczyły się płaty starej farby, a ściany upstrzone były napisami oraz plamami. Położyła czarną torbę na jednym ze stołów, rozpięła suwak i wysypała całą jej zawartość. Oprócz ubrań i butów, wewnątrz była też mała torebka damska. Rozpięła ją i ze środka wyjęła klucze, portfel, telefon, chusteczki higieniczne oraz kosmetyki. Wzięła w dłoń telefon i przyciskiem aktywowała ekran. Pierwszy raz trzymała w ręku to urządzenie, jednak dzięki wspomnieniom, jakie tego wieczora czerpała, wiedziała dokładnie jak je obsługiwać. Tak jakby to było coś, czego nauczyła się dawno temu.

Niebieskie światło telefonu oświetliło w mroku jej twarz. Oto źródło informacji jakiego szukała. Usiadła na zimnym metalowym stole i wybrała na ekranie ikonę przeglądarki. Wertowała strony, czytając o wszystkim, co mogło jej jakoś dotyczyć, a czasem także o tym, co nie dotyczyło jej wcale, lecz wydawało się na tyle interesujące, aby kliknąć nagłówek. Siedziała w ciemności godzinami, zatopiona w czytaniu. Dopiero gdy delikatna blada poświata na klatce schodowej uświadomiła jej, że nastał już dzień, ekran telefonu zgasł, a jej twarz pograżyła się w mroku.

\*

Dziewczyna oczywiście kłamała, co Szulc z łatwością wywnioskował z szybszego bicia jej serca. Jego umiejętności nieraz przydawały się w jego pracy. Gdy rozpoznawał, że ktoś kłamie, brał go zazwyczaj w obroty. Tutaj jednak miał do czynienia z rzekomą ofiarą napaści seksualnej, musiał więc działać bardzo delikatnie. Jako jedyne go świadka oraz potencjalną sprawczynię powinien był ją teoretycznie zatrzymać, jednak wiedział, że to nie ona. Czuł w niej strach, który kazał jej kłamać. Nie wiedział tylko co tak bardzo ją wystraszyło. Dziewczyna widziała coś, lecz z jakichś powodów to zataiła. Wolał puścić ją wolno i przesłuchać za kilka dni, a do tego czasu mieć ją na oku.

Podszedł do samochodu zaparkowanego za radiowozem i otworzył drzwi od strony pasażera. Ze schowka wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer do Dewicza. „Abonent chwilowo znajduje się poza zasięgiem” – usłyszał w słuchawce. Szulc odłożył telefon z powrotem do schowka, zamknął drzwi i podszedł do bagażnika. Wyciągnął biały skafander i założył go na ubranie. Pro forma. Ci z plutonu i tak pewnie rozdeptali wszystko co się dało. Jak mówił stary żart: „Jeśli chcesz zatrzeć ślady zbrodni, wezwij policję, a oni zrobią to za Ciebie”. Przeszedł pod niebiesko-białą taśmą.

Technicy ustawili lampy na statywach, oświetlając miejsce zajścia. Mimo to widoczność była kiepska. Ofiara leżała twarzą do ziemi, jej ręce ułożone były wzdłuż ciała. Opuszczone spodnie odsłaniały nagie pośladki. Mężczyzna był wysoki i mocno zbudowany, musiał ważyć dwa razy tyle co dziewczyna. Śladów nie było za wiele. Żadnych porzucanych przedmiotów wokół ofiary. Miejsce zostało wydeptane przez parkę, która znalazła ofiarę. Potem przez patrol policyjny oraz dziewczynę. Technicy zdołali jedynie zabezpieczyć kilka włókien z pleców mężczyzny. Żadnych włosów. Po zebraniu takiej ilości dowodów, jaka była możliwa, przewrócili go ostrożnie na plecy.

Szulc natychmiast zauważył ślady na szyi mężczyzny. – „Ktoś tu nieźle poimprezował i nie posprzątał po sobie” – pomyślał. Dlaczego jednak

zostawił przy życiu dziewczynę? Dlaczego zostawił zwłoki? Za to groziła przecież najwyższa kara. Być może ktoś go spłoszył i musiał się szybko zwijać? To by wyjaśniało sprawę. Być może była to ta parka gówniarzy? Czas się nie zgadzał. Dziewczyna miała tramwaj o 23:05, facet prawdopodobnie zginął przed tą godziną. Zawiadomienie otrzymali dopiero o 1:38. Powstaje więc dwuipółgodzinna luka. Być może motorniczy tramwaju kogoś widział? „Do sprawdzenia” – zarejestrował w pamięci Szulc. Ktokolwiek to zrobił, to Szulc będzie musiał posprzątać ten bajzel.

Dochodził kwadrans po trzeciej, kiedy z chodnika usłyszał wołanie funkcjonariusza zabezpieczającego miejsce.

– Panie komisarzu! Kolejne wezwanie. Tu obok na Sowińskiego!

\*

Złote fale jej włosów lśniły w przygaszonym świetle wypełniającym pokój. Pomieszczenie spowite było lekką mgiełką dymu z kadzidła tłącego się na komodzie. Z głośników dochodził niski, męski głos wyśpiewujący ospale jeden ze standardów jazzowych. Z jej rozchylonych ust wydobywały się głębokie westchnienia. Lekko zmarszczyła brwi nad zamkniętymi oczami, a jej porcelanowa skóra wydawała się blednąć z sekundy na sekundę. Telefon leżący na szklanym stoliku zawibrował i podświetlił się. Dewicz to jednak zignorował. Telefon zawibrował ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Z poirytowaniem oderwał zęby od szyi dziewczyny i zerknął na komórkę.

„Jeden z naszych rozrabia na mieście.”

„Odezwij się!”

„Natychmiast!”

„Już trzy skóry.”

Trzymając dziewczynę za kark, Dewicz z powrotem przyciągnął ją do siebie. Jednak życie już z niej uszło.

– Kurwa! – przeklął głośno, odrzucając jej ciało na kanapę, na której oboje chwilę wcześniej siedzieli i zaśmiewali się z jego anegdotek.

Spotkał ją tej nocy w klubie. Urabiał ją kilka godzin zanim zaprosiła go do siebie. Nie przeszkadzało mu to, że tyle czasu musiał na nią poświęcić. Traktował tę grę wstępną jak przystawkę przed daniem głównym. Nienawidził jednak kiedy ktoś mu ten ciężko zarobiony posiłek przerywa i w dodatku nie udaje mu się go dokończyć.

Siedział chwilę na kanapie, opierając łokcie o kolana, a dłonie trzymając na pochylonej ku podłodze głowie. Ubrany był w spodnie od garnituru i białą koszulę. Zawsze nosił garnitur. Nawet w sobotni wieczór do klubu. Dobrze skrojony Armani plus drogi zegarek stanowiły skuteczny wabik na szukające wrażeń panienki.

Nachylił się nad szklanym stolikiem i wciągnął do nosa przygotowaną wcześniej ścieżkę białego proszku. Nie było drugiego takiego połączenia jak młoda krew i kokaina. Poszedł do łazienki i nad zlewem przemył twarz zimną wodą. Na lustrze znalazł pudełko z różowym żelem do włosów. Zdjął pokrywkę i nabrał trochę substancji na koniuszki palców, po czym wtarł ją we włosy zaczesując je do tyłu. Przeszedł z powrotem do salonu. Zabrał swoją marynarkę z fotela i ubrał się w nią, przeglądając się w dużym lustrze w przedpokoju. Z torebki leżącej na pufie wyciągnął klucze z czerwonym, brokatowym brelokiem w kształcie serca. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Gdy dotarł na Sowińskiego, było już po czwartej. Ciemnogrnatowe do tej pory niebo zaczynało powoli przybierać odcienie szarości. Poranek był przyjemnie rześki w porównaniu do skwaru poprzedniego dnia.

Zaparkował samochód przed remontowanym odcinkiem drogi. Miejsce zabezpieczały dwa radiowozy. Czarna Kia Stinger Szulca zaparkowana była obok jednego z nich, on sam rozmawiał z jednym z funkcjonariuszy.

– Szulc! – zawołał, wyciągając do góry rękę w przywołującym go geście.

Szulc obejrzał się i najwyraźniej zirytowany podszedł szybkim krokiem do Dewicza.

– Syf nie z tej ziemi! Trzy trupy jednej nocy! Wszystkie znalezione przez przypadkowych przechodniów! A Ty nie raczysz odebrać telefonu?! – wyrzucił Dewiczowi.

– A propos syfu, masz i posprzątaj – odpowiedział Dewicz, podając mu klucze z brelokiem w kształcie serca oraz kartkę z adresem.

– Pierdol się! – odwarknął Szulc.

Szulc mógł sobie pyskować ile chciał, ale Dewicz wiedział, że i tak to załatwi. Nie miał nic do gadania.

– To co mnie ominęło? – rzucił leniwie Dewicz, idąc w kierunku bagażnika swojego czarnego Cadillaca CTS.

– Sam sobie zobacz i powodzenia w sprzątaniu tego szajsu! – Szulc odwrócił się i ruszył w kierunku radiowozów.

– Szef musi zostać o wszystkim poinformowany! – zawołał za nim Dewicz, wyjmując z bagażnika biały kombinezon.

– To go poinformuj! To twój szef! – Szulc nie obejrzał się za siebie.

– Zjedz coś Szulc! Marnie wyglądasz! – zawołał jeszcze głośniej Dewicz i uśmiechnął się pod nosem.

Zdjął marynarkę, włożył ją do bagażnika. Założył skafander oraz maseczkę na twarz. Podszedł do wykopu ogrodzonego niebieską policyjną taśmą. Gdy doszedł do jego krawędzi, zauważył dwa ciała mężczyzn leżące na dnie dołu. Technicy policyjni kręcili się wokół, fotografując zwłoki oraz plakietki z numerami, które wcześniej umieścili przy dowodach znalezionych na miejscu zbrodni. Nie to jednak przykuło uwagę Dewicza. Pierwsze co rzuciło mu się w oczy to otwarta cynowa trumna wyściełana czarnym aksamitem. Obok leżało jej proste wieko z herbem. Dwa wilki na tarczy oraz jeleni w klejnocie były mu bardzo dobrze znane.

\*

Poranny półmrok rozpędzały już pierwsze złote promienie słońca, odbijające się w oknach na najwyższych kondygnacjach budynków. Miasto jeszcze spało i jedynymi, nielicznymi przechodniami były ostatnie niedobitki z sobotnich imprez, które właśnie wytoczyły się z zamykanych klubów. Szulc pędził przez puste ulice swoją służbową Kią.

Dewicz niestety miał rację. Szulc od dawna się nie żywił. Jednak nie przychodziło mu to z taką łatwością jak prokuratorowi. Dewicz nie odmawiał sobie niczego, a gustował głównie w przygodnie spotkanych młodych dziewczynach. Z kolei Szulc, na swoje ofiary wybierał przeważnie przestępców, których z racji zawodu znał wielu. Był ku temu również inny, praktyczny powód. Takie sprawy tuszowało się znacznie łatwiej niż zabójstwa młodych dziewczyn. Zwyrrodnialcy, mordercy, czy życiowi wykolejeńcy rzadko kiedy byli poszukiwani przez kogokolwiek poza policją. Upozorowanie ucieczki było dość wiarygodnym rozwiązaniem. Również niewyjaśnione morderstwa w półświatku, nie były przecież czymś niezwykłym. Kartoteki policyjne pęczniały od listów gończych z twarzami, których już nikt nigdy miał nie zobaczyć, a ich los znał tylko Szulc. Zupełnie inaczej było w przypadku, gdy chodziło o młodą kobietę. Była to zazwyczaj czyjaś córka, siostra lub narzeczona. Rodzina robiła dużo szumu i sprawa niekiedy zdobywała publiczny rozgłos. Bliscy robili wszystko, aby odnaleźć zaginioną lub dorwać oprawcę zamordowanej. W takich przypadkach Szulc najczęściej pozorował samobójstwo. Rzadziej zaginięcie lub śmierć z innej, pozornie możliwej przyczyny. Niestety, przy ilości ofiar prokuratora, zakamuflowanie spraw tak, aby nie wzbudzać podejrzeń, ani nie wywołać ogólnej paniki, było niezwykle trudne. Całe szczęście mieli swoich ludzi w odpowiednich organach i na wszelkich stanowiskach.

Brokatowe serce z kluczem oraz kartka z adresem spoczywały na przednim siedzeniu obok Szulca. Nie tam jednak się teraz udawał.

„Antykwariat pod Gryfem” mieścił się w małej piwnicy jednej ze śródmiejskich kamienic. Szulc zszedł po schodkach i stanął pod rzeźbioną

głową gryfa nad drzwiami antykwariatu. O tej porze był oczywiście zamknięty.

Zajrzał do wnętrza przez przeszklone drzwi za harmonijkową kratą. W środku, pośród regałów wypełnionych książkami, nie było nikogo. Nacisnął okrągły guzik dzwonka po prawej stronie drzwi i z wewnątrz dobiegł go terkoczący sygnał. Przez uchylone okno na piętrze usłyszał rumor dochodzący z mieszkania nad sklepem. Po chwili, za szklanymi drzwiami, zauważył starca w niedbale założonym szlafroku, schodzącego po wąskich, krętych schodkach do wnętrza antykwariatu. Staruszek chwiejnym krokiem podszedł do drzwi i chrzęszcząc zwojem kluczy otworzył zamek i kratę.

– Marcus, a co ty tu...? O tej porze? – zapytał, wpuszczając Szulca do środka.

– Spałeś? – spytał wyraźnie zdziwiony Szulc.

– A wiesz... te człowiecze przyzwyczajenia – odpowiedział ze zmieszaniem uśmiechem starzec, przeczesując jedną dłonią rozczochrane włosy, a drugą trzymając poły rozchyłającego się szlafroka, spod którego widać było pasiastą piżamę. – Wracają do mnie na starość.

– Kiedy się ostatnio żywiłeś?

Starzec machnął ręką i zwrócił kroki w głąb ciasnego pomieszczenia.

– Ach, starość. Tyle razy mnie pokonywała z tymi swoimi małymi złośliwościami. Poddawałem się. Tym razem jednak... wiesz, Marcus... chyba dam radę – powiedział ochrypłym głosem starzec, patrząc na Szulca z pewną dozą satysfakcji.

– Nie gadaj takich bzdur! Skończ z tym postem! Jak ci powiem co się stało, to ci przejdzie ochota na... – Szulc nie dokończył. Nie lubił, gdy stary popadał w ten swój melancholijny nastrój. I ten jego pomysł z umieraniem?

Starzec usiadł na obitym brązową skórą, obracanym fotelu za biurkiem, które stało wciśnięte w róg sklepu. Szulc podążył za nim przeciskając się między regałami i stołami, na których piętrzyły się stosy

starych, zakurzonych książek. Usiadł na krześle po przeciwnej stronie biurka.

– Patrz na to – powiedział, kładąc przed staruszką telefon z wyświetlonym zdjęciem.

– Co to? – Starzec założył okulary i marszcząc brwi spojrzał na zdjęcie.  
– Gdzie to znalazłeś?

– Stary cmentarz dla biedoty na Górnym Wiku. Tak, jak podejrzewałeś.

– A jednak – wyszeptał staruszek, przybliżając, to oddalając głowę od ekranu telefonu i próbując dostrzec detale na zdjęciu.

– Twoja stara przyjaciółka narobiła dzisiaj w nocy niezłego bałaganu. Trzy trupy. Wszystkie znalezione przez przypadkowych przechodniów. Do tego jeden świadek, który prawdopodobnie ją widział.

Starzec z niedowierzaniem kręcił głową wpatrując się w ekran telefonu, na którym widniała otwarta trumna oraz wieko z herbem i datą.

– Musisz ją jak najszybciej znaleźć! – spojrzał na Szulca z nagłym ożywieniem. – Zanim oni to zrobią!

\*

Było już po dziesiątej, kiedy Natalia usłyszała pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołała, nie wstając z łóżka.

– Przyszłam sprawdzić, jak się czujesz, Natałko – Siwa głowa starszej kobiety ukazała się w drzwiach.

Nie spała już od trzech godzin, ale zupełnie nie miała ochoty schodzić na śniadanie. Leżała skulona pod kołdrą, wtulając się w miękką poduszkę obleczonej haftowaną poszewką. Wsłuchiwała się w krakanie gawronów buszujących w ogrodzie. Na początku, ptaki przekrzykiwały się, siedząc na



gałęziach drzew widocznych z jej okna, następnie małe stadko czarnych ptaszysk sfrunęło na trawę i tam kontynuowało swoją zaciekłą kłótnię.

Obrazy z poprzedniego wieczora prześladowały ją. Nie chciała o tym myśleć. Najchętniej wszystko by wyparła i zapomniała. Namolne myśli ciągle jednak wracały. Przypominała sobie swój paniczny lęk i całkowitą bezsilność. Ledwie uniknęła czegoś nieodwracalnego. Wszystko zdawało się być jakimś koszmarem. Miała tylko nadzieję, że to kiedyś minie i będzie tak jak dawniej. Normalnie. Co chwilę jednak stawał jej przed oczami obraz tej kobiety z szklistymi, czarnymi oczami, z ustami umazanymi krwią, spoglądającej na nią znad barku jej oprawcy. Z jednej strony była jej wdzięczna. To ona ją uratowała. Z drugiej strony, przerażała ją. Było w niej coś zarówno intrygującego, jak i odpychającego. Absurd! Wampiry przecież nie istnieją! Może w stresie uroiła sobie coś sama?

– W porządku – odparła Natalia podnosząc się z łóżka. – Trochę boli mnie dzisiaj głowa. Chciałabym po prostu przestać o tym myśleć.

– Dobrze, skarbie. Pamiętaj, że gdybyś czegoś potrzebowała, to jestem na dole. Ugotowałam też rosół. Jak jesteś głodna, to zejdz. A może przyniosę ci tu na górę?

– Nie, naprawdę dziękuję. Nie byłabym w stanie nic przełknąć. Nie jestem głodna.

Starsza kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem i wyszła z pokoju.

Biedna Pani Róża. Nie dość, że zeszłej nocy Natalia musiała ją ściągać z łóżka, bo nie mogła wejść do domu. Jej klucz był w torbie, która gdzieś zaginęła. To jeszcze widok jej lokatorki z rozwaloną górną wargą, doprowadzonej pod drzwi przez policjanta, musiał być dla starszej pani nie lada szokiem. Gospodyni nie miała jednak o nic pretensji. Natalia była w końcu bezproblemową lokatorką już od prawie dwóch lat.

Przez pierwszy semestr studiów mieszkała w boksie w akademiku. Warunki nie były w sumie najgorsze. Dwa dwuosobowe pokoje, wspólna kuchnia i łazienka. Ona jednak od początku czuła, że męczy się tam. Już jako dziecko była bardzo wrażliwa na hałas, ostre światło i zapachy. Ojciec mówił, że jest przewrażliwiona tak jak jej matka. Niestety to jej

„przewrażliwienie” nie ułatwiało życia w akademiku. Z rana zapach smażonego jajka w kuchni, potem śmiechy na korytarzu, impreza na wyższym piętrze, nocne rozmowy za ścianą. Czasami czuła, że gromadzi się w niej tyle wrażeń, jakby miała za chwilę wybuchnąć. Nie chciała uchodzić za odludka. Nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że tak właśnie odbierali ją jej współlokatorzy.

Krótko po tym, jak umarła jej babcia, na tablicy ogłoszeniowej zaraz obok swojego boksu zauważyła ogłoszenie o możliwości wynajęcia pokoju w domu starszej pani. Dla wielu jej kolegów i koleżanek tak zwana „stacja u babci” była najgorszą i najbardziej obciachową opcją na lokum. Dla niej było to rozwiązanie idealne.

Dom Pani Róży był jedną ze starych willi na Pogodnie, najpiękniejszej z dzielnic Szczecina. Gdy dzielnica przed końcem XIX wieku nazywała się jeszcze Westend i powstawały tu pierwsze domy, uważana była za bardzo luksusową. Jedynie bogaci mieszkańcy Szczecina mogli sobie pozwolić na osiedlenie się w tej części miasta. Po wojnie Westend stał się Pogodnem i pomimo licznych dobudówek, dzielenia ogromnych ogrodów na mniejsze działki i zapełniania ich mniejszymi i znacznie brzydszymi budynkami, miejsce to zachowało swój charakter i urok. Spokojne uliczki obsadzone starymi drzewami i krzewami, na wiosnę tonęły w kwiatkach magnolii. W zacienionych starych ogrodach, pośród zieleni stały poważne fasady starych domów, przypominające niekiedy bajkowe zameczki.

Ulica Waryńskiego, przy której pod numerem 7 stał dom Pani Róży, biegła w pobliżu mało uczęszczanej linii kolejowej, po której czasem przejeżdżał pociąg towarowy. Brukowana uliczka znajdowała się raczej na uboczu, więc ruch samochodowy był tu niewielki. Ogród otoczony był starym żeliwnym ogrodzeniem. Ciężka furtka skrzypiała przeraźliwie, ilekroć się ją otwierało. Budynek był wysoki, pokryty dość stromym wielospadowym dachem, posadowiony na wzniesieniu, przez co wydawał się jeszcze wyższy. Wąska ścieżka obsadzona paprociami prowadziła pod górkę do urokliwej werandy z boku budynku. Jej rzeźbione belki zostały pomalowane na żółto, tak jak wiele innych drewnianych elementów ozdabiających budynek. Nad wysokim parterem były jeszcze dwa piętra. Elewacja najwyższej kondygnacji pokryta była drewnianym gontem

przypominającym rybią łuskę. Niższe poziomy pokrywał tynk, który z biegiem lat zszarzał i gdzieś tam przetykany był drewnianymi belkami ryglowymi, pomalowanymi również na żółto. Okna pokoju Natalii umieszczone były od frontu, w jednym z drewnianych wykuszy. Stary ogród okalający dom wypełniony był leciwymi cisami, świerkami, lipami oraz brzoźami. Wysokie drzewa mocno zacięniały budynek oraz jego wnętrze, co dodawało mu aury tajemniczości. Willa Pani Róży lata świetności być może miała już za sobą, nadal jednak imponowała, a starsza pani utrzymywała budynek w przyzwoitym stanie pomimo, iż mieszkała w nim całkiem sama.

O ile wnętrze domu babci Natalii przypominało skansen z czasów PRLu, o tyle czas w domu Pani Róży zdawał się zatrzymać jeszcze przed drugą wojną światową. Oryginalne wyposażenie domu z pieczołowitością było pielęgnowane przez jego właścicielkę. Wnętrza wypełniały drewniane kredensy i serwantki bogato zastawione porcelaną, starymi zegarami i kryształami. W dość ciemnym holu, pod szerokimi schodami prowadzącymi na piętro stała rzeźbiona konsola, na której ustawiona była lampka ze szklanym, mlecznym kloszem oraz stary aparat telefoniczny z czarnego ebonitu.

Natalia uwielbiała ten dom. Wywoływał w niej uczucie pewnej nostalgii. Tak samo zresztą, jak jego właścicielka. Natalia lubiła przebywać w jej towarzystwie i słuchać jej historii. Były niczym cienka nitka ostatnimi włóknami łącząca teraźniejszość z historią, zanim ta całkowicie popadnie w zapomnienie.

Pani Róża nie miała żadnej bliskiej rodziny. Opowiadała Natalii, że jej mąż zmarł, gdy ona była jeszcze dość młoda i nie mieli dzieci. Czasami odwiedzała ją jedynie kuzynka, pani Magda, która pomagała w codziennych obowiązkach, takich jak zakupy i sprzątanie. Starsza pani umysł miała wciąż ostry jak brzytwa, lecz jak sama mówiła, ciało odmawiało jej już posłuszeństwa. Poza wyjściami na spotkanie kółka różańcowego raz w miesiącu, Pani Róża rzadko opuszczała dom. Natalia starała się pomagać jak tylko mogła. Często robiła zakupy, pracowała w ogródku lub odkurzała bibeloty gospodyni. Czyny, jaki płaciła był wręcz

nieważnie niski i czuła się nieco w obowiązku, aby zrekompensować szczodrość starszej pani.

Poza tym, Pani Róża trochę przypominała jej własną babcię i trochę tak ją traktowała. Nie była dla niej typową gospodynią, lecz miała wrażenie, że ich relacja jest znacznie bliższa. Natalia nawet nie wyprawiała się na okres wakacji i część swoich rzeczy, łącznie z książkami i laptopem, zostawiła po prostu u Pani Róży. To samo tyczyło się klucza, który Pani Róża kazała jej zatrzymać przez wakacje, pomimo, że nie pobierała od niej przez ten czas opłat.

Stado gawronów, które do tej pory beztrąsko panoszyło się pod jej oknem, nagle zerwało się z krzykiem do lotu. Po chwili głośnego krakania nastąpiła zupełna cisza. Leżąc na łóżku, spojrzała w okno. Gawrony siedziały na gałęziach, w milczeniu obserwując ogród. Wstała z łóżka i w podeszła do wysuniętego wykuszu okiennego. Na ulicy stał zaparkowany czarny samochód. Drzewa zasłaniały furtkę, ale usłyszała jej ciężkie metaliczne skrzypnięcie. Zza cisów wyłoniła się sylwetka mężczyzny idącego ścieżką w kierunku werandy. Był wysoki, ubrany w garnitur. Ciemne blond włosy zaczesane miał gładko do tyłu. Obserwowała go, stojąc za firanką zawieszoną w bocznym oknie wykuszu. Chłodny powiew wiatru, który dostał się przez uchylone okno, przyprawił ją o gęsią skórę na ramionach. Gdy mężczyzna zbliżał się do wejścia, straciła go z oczu. Ściana budynku zasłaniała werandę i nie widziała nic więcej. Z dołu dobiegł ją dźwięk dzwonka. Odsunęła się od okna i stawiając na wzorzystym dywanie ostrożne kroki, podeszła do drzwi prowadzących na korytarz. Uchyliła je powoli, starając się, aby nie wydały żadnego dźwięku. Nasłuchiwała przez małą szparę, lecz nie udało jej się wychwycić nic oprócz stłumionych głosów mężczyzny i Pani Róży. Po jakiejś minucie dobiegł ją trzask zamykanych drzwi wejściowych. Podbiegła na palcach w kierunku okna, żeby jeszcze raz rzucić okiem na nieznanego. Mężczyzna szedł ścieżką w kierunku furtki. Nagle obejrzał się i spojrzał prosto w jej okno. Szybko przykucnęła. Siedziała tak chwilę skulona, z nadzieją, że jej nie dostrzegł. Usłyszała skrzypnięcie furtki, a następnie silnik odjeżdżającego samochodu. Wyprostowała się i spojrzała ponownie przez okno. Czarny samochód zniknął.

Na długą koszulę nocną wciągnęła szary sweter i zeszła na dół. Pani Róża stała zamyślona w ciemnym holu, opierając się jedną ręką o konsolkę, na której stał telefon.

– Wszystko w porządku?

– A tak. Tak! – ocknęła się z zamyślenia Pani Róża.

– Kto to był?

– Nikt – odpowiedziała zmieszana staruszka. – Prokurator. Chciał rozmawiać z tobą, ale powiedziałam, że cię nie ma.

Natalia spojrzała się na Panią Różę z milczącym zapytaniem w oczach.

– Powiedziałam, że poszłaś do biblioteki. Pomyślałam, że jesteś zmęczona i nie chcesz z nim rozmawiać – tłumaczyła się dalej gospodyni.

– Tak. Dobrze pani zrobiła. Dziękuję! – powiedziała Natalia, nie mogąc wyjść ze zdziwienia, że Pani Róża okłamała prokuratora, że okłamała kogokolwiek.

– To może zjesz coś, skoro już tu jesteś?

– Może i tak – uśmiechnęła się niepewnie Natalia i obie udały się w kierunku kuchni.

\*

Czarny cadillac mknął na wschód drogą wojewódzką 152. Jednopasmowa jezdnia przecinała pola, na których gdzieniegdzie leżały bele słomy po niedawno skoszonym zbożu. Nad ścierniskiem powoli zaczęła się unosić wieczorna mgiełka, a pomiędzy horyzontem i pomarańczowo-różowym niebem w oddali majaczyły ciemne kształty lasów i niewielkich zagajników. Dewicz nie zwracał jednak uwagi na tę urokliwą scenerię wyjętą niczym z obrazów Caspara Friedricha<sup>3</sup>. Jego myśli

---

<sup>3</sup> Caspar David Friedrich - niemiecki malarz urodzony w Greifswaldzie, uznawany za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli malarstwa romantycznego. Tematem jego obrazów były często pomorskie krajobrazy.

całkowicie zaprzętały nowe okoliczności, które pojawiły się poprzedniej nocy oraz to, w jaki sposób odbije się to na nim. Mały złamany wisiorek, który spoczywał zamknięty w woreczku strunowym w kieszeni jego marynarki, zdawał się wypalać mu dziurę w udzie. Wąska droga wprowadziła go do ciemniejszego już o tej porze lasu, którego ponura atmosfera znacznie lepiej oddawała jego nastrój.

Po kwadransie minął zieloną tabliczkę z napisem „Starogard”. Dla Dewicza była to typowa postępieerowska wiocha ze zrujnowanymi gospodarstwami, PRL-owskimi blokami i domami w kolorach pastelowych farb z wyprzedaży. Nie przekonywał go argument o tym, że miejsce jest na uboczu, że zapewnia prywatność, bezpieczeństwo i komfort. Sam nigdy by tu nie zamieszkał. Mając takie pieniądze i władzę mógł być przecież kimkolwiek. Nieumarłym królem życia. Dewicz uważał, że chodzi tu o coś innego. O obsesję na punkcie Borków i wszystkiego co z nimi związane.

Minął kościół z bieloną murowaną wieżą, która wyglądała jakby na jej szczycie zatknięto mały ryglowany domek. Na rondzie zjechał drugim zjazdem. Po lewej stronie wąskiej jezdni ciągnął się długi, wysoki na ponad dwa metry mur z kamienia, zakończony zdobionymi mosiężnymi grotami. Zza muru wystawały korony wysokich drzew i tuj, które całkowicie zasłaniały widok dla ciekawskich oczu. Gospodarz skrywający się za takim ogrodzeniem już dosadniej nie mógł wyrazić tego, że mile widziani są jedynie zapowiedziani goście. Jednak dla Dewicza wrota pałacu zawsze stały otworem.

Podjechał pod ciężką kutą bramę, której pełne skrzydła pokryte zdobieniami zupełnie zasłaniały wnętrze ogrodu. Nie wysiadając z samochodu zwrócił twarz w kierunku kamery zamontowanej na wysokim filarze. Ochroniarz najwidoczniej od razu go rozpoznał, gdyż już po kilku sekundach skrzydła bramy zaczęły się rozwierać, otwierając widok na okazałą jasną bryłę barokowego pałacu zbudowanego na wzór francuskich *entre cour et jardin*.<sup>4</sup> Minął budkę wartowniczą i uzbrojonego ochroniarza pilnującego wjazdu. Podążył utwardzoną drogą prowadzącą wokół

---

<sup>4</sup> (fr. między dziedzińcem a ogrodem) – rodzaj pałacu barokowego, wykształconego we Francji w XVII wieku, gdzie główny budynek leżał na osi między dziedzińcem honorowym, a ogrodem, znajdującym się na tyłach pałacu.

zielonego skweru, na środku którego, pośród kwiatów, stała oświetlona od dołu armata. Zaparkował tuż przed schodami pałacu i wysiadł z samochodu. Poczuł rześkie, wieczorne powietrze wypełnione zapachem świeżo skoszonej trawy oraz cykaniem świerszczy. Wchodząc po schodach spojrzął w górę, w kierunku herbu na szczycie ryzalitu. Kiedyś była to trzymana przez dwa gryfy tarcza przedstawiająca dwa wilki, zwieńczona koroną i jeleniem w klejnocie. Obecnie miejsce wilków zajmował zwrócony w lewo gryf trzymający w szponach jednej łapy miecz. Jelenia zastąpiła okazała korona.

Majordomus kazał mu poczekać w przestronnym holu, którego centralną część dominowały potężne, dębowe schody prowadzące na piętro. Dewicz stanął przy jednej z wielkich gdańskich szaf i wpatrując się w biało-czarną szachownicę na posadzce, nasłuchiwał dochodzących zza drzwi odgłosów wzburzonej dyskusji. Po chwili służący otworzył drzwi i stanął przy nich, dając Dewiczowi znak, że może wejść.

Salon ogrodowy pogrążony był w półmroku. Za oknami roztaczał się widok na ciemny już o tej porze park. Kryształowe żyrandole nie były zapalone, a jedynymi źródłami światła były kinkiety wiszące na pokrytych czerwonym, wzorzystym jedwabiem ścianach. W rogu pokoju, nad ciemnym paleniskiem kominka wisiał okazały portret Księcia.

Stojąca do niego tyłem kobieta obróciła się gwałtownie, odrzucając na bok długie blond włosy. Perłowe kolczyki w kształcie łez zakołysały się na jej uszach. Ubrana była w szarą suknię, której odsłaniająca ramiona i plecy. Obrzuciła Dewicza lodowatym spojrzeniem i zwróciła się ku wyjściu.

– Jest twój – warknęła, mijając prokuratora.

– Baw się dobrze! – z beztroską w głosie zawołał za nią wyraźnie rozbawiony mężczyzna, siedzący na dużej skórzanej kanapie na środku pomieszczenia.

Dwie skąpo odziane młode kobiety, z których jedna siedziała na kolanach Księcia, a druga obok niego, zachichotały cicho.

„Tępe dzidy, nie znacie jej gniewu” – pomyślał Dewicz.

– Witaj przyjacielu! – powiedział serdecznie, siedzący na kanapie mężczyzna.

Był w średnim wieku, jego całkowicie siwe włosy były mocno przystrzyżone po bokach i modnie wystylizowane na górze głowy. Szare, żywe oczy z wesołością spoglądały na Dewicza, a z siwego, tylko pozornie niedbałego, zarostu wyłaniał się szczery, biały uśmiech. Ubrany był w grafitowe materiałowe spodnie oraz jasną koszulę rozpiętą przy szyi.

– Co z nią? – spytał Dewicz, robiąc ruch głowy w kierunku otwartych drzwi, przez które przed chwilą przeszła kobieta.

– Spory natury filozoficznej. Dla mnie monogamia to wierność jednej osobie przez życie, dla niej przez wieczność – odparł z uśmiechem siwowłosy mężczyzna.

Panienki znowu zachichotały. Dziewczyna siedząca na kolanach Księcia ubrana była w kusą czerwoną sukienkę, która równie dobrze mogła być halką lub koszulką nocną. Na jej szyi Dewicz zauważył świeże ślady ugryzienia. Ona jednak zdawała się nic sobie z tego nie robić i jedną ręką obejmowała Księcia za szyję, a w drugiej trzymała kieliszek.

– No, dziewczynki, zmykajcie do siebie. Zaraz do was przyjdę – powiedział Książę, klepiąc po pośladku dziewczynę w czerwonej sukience.

Obie posłusznie odłożyły swoje drinki na stojący przed kanapą stolik, wstały i pośpiesznie opuściły pokój.

– Nie potrafi się cieszyć tym co ma – westchnął siwowłosy mężczyzna.  
– A ma wszystko: pieniądze, pozycję i nieśmiertelność. Czego chcieć więcej? Chyba wyślę ją znowu do Trelika.

Trelik był psychologiem, jednym z wielu ogniwi siatki specjalistów od wszystkiego, którego Książę przemienił w latach 90. kiedy to niektórzy z nieumarłych zaczęli zmagać się z problemami natury egzystencjalnej. Niestety, żaden z żyjących psychologów jak dotąd nie specjalizował się w problemach natury psychicznej osób żyjących więcej, niż jedno życie. Trelik stał się jedynym specjalistą w tej dziedzinie.



– Cóż, nie wszyscy są tak silni jak ty – Dewicz wiedział jak połechtać ego swojego szefa, choć komplementy ledwo przechodziły mu przez gardło.

– Tak... – zamyślił się Książę. – Ty też. Też jesteś silny. Pamiętam, jak cię znalazłem po moim powrocie. Złamany i żałosny żebrak w ruinach. Naprawdę, wyglądałeś wtedy jak ostatnie nieszczęście. – Spojrzał z przejęciem na Dewicza – A teraz? Podniosłeś się z tego wszystkiego i umiesz docenić to co masz, korzystasz z tego, co daje ci ten świat!

Dewicz nienawidził, gdy Książę wspominał o tych czasach. Tamten robił to jednak nazbyt często. Zapewne po to, aby przypomnieć mu, komu zawdzięcza swoje obecne położenie. Podczas gdy prawie cztery wieki temu to Książę w popłochu przed „wielką klątwą” wyjechał do Nowego Świata, nie uprzedzając o tym nawet jego, jednego z najbardziej zaufanych doradców, on został na miejscu. Sam zmierzył się z trudnościami i zawieruchami wojennymi. Umiejętnie lawirował w politycznym chaosie. Sam zbudował swoją pozycję i fortunę. Rewolucja przemysłowa uczyniła go jednym z najznamienitszych obywateli miasta, a on cieszył się sławą operatywnego przedsiębiorcy i filantropa. Okazało się jednak, że popełnił pewien błąd. Trwał na miejscu do końca, nie wierząc, że teren byłego Księstwa Pomorskiego kiedykolwiek przejdzie we władanie sił ze wschodu. Wojna zabrała mu wszystko to, co z trudem udało mu się zbudować. Załamany błąkał się ulicami zrujnowanego Szczecina, aż pewnego dnia, wyciągnięta do niego pomocna dłoń, odziana w radziecki mundur, okazała się należeć do dawnego znajomego, który powrócił zza oceanu, aby odebrać to, co uważał za swoje.

– Tylko dzięki twojej pomocy – Dewicz przepuścił przez zęby kolejne pochlebstwo.

– Tak... Z czym więc, tak ważnym, przybywasz do mnie, mącąc mój niedzielny spokój?

Dewicz wyjął z kieszeni mały woreczek strunowy i położył go na stoliku przed Księciem. Mężczyzna natychmiast spoważniał. Dewicz mógłby przysiąc, że przez ułamek sekundy na twarzy Księcia pojawił się strach.

– Weź to i chodź ze mną – nakazał Księżę, po czym pośpiesznie wstał z kanapy i szybkim krokiem udał się w kierunku dwuskrzydłowych drzwi obok kominka.

Weszli do gabinetu sąsiadującego z salonem ogrodowym. Pomieszczenie było jeszcze ciemniejsze od poprzedniego. Księżę zapalił lampkę stojącą na starym, dębowym biurku. Jej światło wydobyło z ciemności, znajdujące się na ścianach za plecami Księcia, dwa ogromne gobeliny przedstawiające sceny z mitologii. Księżę wyciągnął z szuflady biurka mały klucz. Podeszedł do wiszącego na ścianie obrazu. Chwycił za jego ramę i odchylił malowidło na bok. W ścianie, za obrazem, wbudowana była mała skrytka. Otworzył jej drzwiczki kluczykiem. Przez bawełnianą chusteczkę ostrożnie wziął do ręki mały przedmiot znajdujący się w środku. Zamknął skrytkę i zasłonił ją z powrotem obrazem. Podeszedł do biurka i położył na nim małą srebrną ozdobę. Nie wyciągając z woreczka swojej połowy wisiorka, Dewicz położył ją obok. Pasowały do siebie idealnie. Dwie połówki jednego amuletu w kształcie półksiężyca wykonanego ze srebra i bursztynu.

– Wróciła? – zapytał cicho Księżę spoglądając na obraz, za którym schowany był sejf.

Malowidło przedstawiało młodą kobietę w renesansowej sukni. Drobną siateczką z małych perełek podtrzymywała dwa koki po bokach jej głowy, w które upięte były jej bujne, rude włosy. Na jej ramionach spoczywał ciężki, złoty łańcuch, a w dłoni trzymała złoty kielich. Tuż za piękną, młodą dziewczyną stała pomarszczona staruszka w prostej szacie.

– Tak – odparł Dewicz nie odrywając wzroku od zawieszki.

– Nie może tu dotrzeć! – rozkazał Księżę po tym, jak prokurator zdał mu relację z okoliczności odnalezienia amuletu. – Nie może się dowiedzieć, gdzie jestem. Najlepiej, aby jak najszybciej spotkała się z siostrzyczką na tamtym świecie.

– Mam uruchomić siatkę?

– Nie. Działasz na razie sam. Nie chcę wzbudzać niepotrzebnego niepokoju. Niektórzy mogliby to potraktować jako sposobność do buntu.

- Co z Kantzowem i jego psem? – spytał Dewicz.
- Obserwuj ich, ale starego zostaw. Obiecałem mu spokojną emeryturę.
- Nie powinienes mu tak ufać.
- Zawsze był lojalny. Będzie się przyglądał wszystkiemu z niesmakiem, ale nic nie zrobi. Jak zwykle. Obietnica to obietnica. Z młodym zrób co chcesz.

*Wszelkie treści zamieszczone na stronie Sydonia.pl (w tym treść powieści „Klątwa Gryfitów”) podlegają ochronie prawnej na podstawie przepisów Ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych (tekst jednolity z 2006 r., Dz.U. nr 90, poz. 631 z późn. zm.). Bez zgody autora zabronione jest kopiowanie treści, drukowanie, rozpowszechnianie na innych stronach, serwisach internetowych, mediach społecznościowych, etc.*

A. Schneider „Klątwa Gryfitów”